

Rok 1909, Monte Carlo. Karol Jaroszyński wygrywa równowartość 774 kilogramów złota...

Wacław Holewiński



CIENIEM BĘDĄC, CIENIEM ZOSTAŁEM

LIRA
WYDAWNICTWO

**CIENIEM
BĘDAĆ,
CIENIEM
ZOSTAŁEM**

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-08-1

Wacław
Holewiński

CIENIEM
BĘDĄC,
CIENIEM
ZOSTAŁEM

L I R A
WYDAWNICTWO



Karol Jaroszyński (1878—1929)

1.

Otworzył oczy. Był zmęczony i nie wiedział, gdzie się znalazł. Bolała go prawa noga. Gdzieś z oddali, jakby z innego pomieszczenia, doszedł go czyjś głos. Mocny, stanowczy.

— Étranger? Parlez-vous français?*

Jakim cudem mówiono do niego po francusku? Co się stało? Pomacał ręką dookoła. Leżał w łóżku? Dlaczego? Chciał się podnieść, ale natychmiast zebrało mu się na wymioty. Poczul, jak strużka śliny ścieka mu po brodzie. Zacisnął usta.

Pochyliła się nad nim młoda kobieta. Miała na głowie szeroki czepek.

— Proszę się nie ruszać. — Ona też mówiła po francusku. — Jest pan w szpitalu Salpêtrière, miał pan wypadek. Zaraz przyjdzie do pana lekarz. Czy pan mnie zrozumiał?

— Oui. Dlaczego... — wychrypiał. Mieszał języki, same mu się mieszały. — Poczemu ja...?

Paryż. Słyszał o tym szpitalu. Gdzie? Kiedy, kto mu o nim opowiadał? Leczył tu jakiś Polak... Widział go na obrazie? Jakim obrazie, czym? Bobiński? Babiński. Bo... Nie pamiętał. Obłąkani? prostytutki? Zwariował? Trzeba stąd natychmiast uciekać. Wracać? Dokąd?

Mężczyzna, który musiał siedzieć na krześle gdzieś za łóżkiem, podniósł się. Był wysoki, pewnie wyższy od niego. Mocny zarost szpecił mu policzki.

* Étranger? Parlez-vous français? (fr.) – Cudzoziemiec? Mówi pan po francusku?

— Jak się pan nazywa? — Wciąż mówił do niego po francusku. — Kim pan jest? Gdzie jest pański paszport? Czy wie pan, który mamy rok?

Wiedział. Tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy. A może, może... Nie, nie był pewien. Niczego nie był pewien.

Dlaczego zadawano mu te pytania?

— Był pan w operze. Pamięta pan przedstawienie?

W operze? Nie. Dziś? Wczoraj? Lubił operę, ale tu, w Paryżu? *Otello*? Kto go tak zachwycił? De Muro? Był fantastyczny. Najlepszy tenor, jakiego słyszał. A przecież tylu ich... W Petersburgu, w Moskwie, Rzymie... Caruso w Teatrze Maryjskim. Co on śpiewał? Partię Lorisa w *Fedorze*? Powinien posłuchać tych zza oceanu. Jak się nazywała ta aria de Muro? *Esultate*?

Próbował odpowiedzieć, ale nagle poczuł drżenie najpierw dolnej wargi, a chwilę potem całego ciała. Pielęgniarka zaczęła głośno krzyczeć. Zobaczył jeszcze, jak do pokoju wbiega lekarz, a zaraz po nim kolejny.

Był przytomny, wymiotował. Zachłysnął się. Złapali go pod ramiona, przekręcili na brzuch. Chciał krzyknąć, że za moment się zadławi. Z trudem łapał oddech, oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Poczł ukłucie, lekarz wbił mu w ramię igłę.

Ile to trwało? Minutę, pięć, kwadrans, całą wieczność? Leżał, oczy same mu się zamykały. Nie chciał spać, ale to było silniejsze od niego. A kiedy się przebudził, pamiętał sen. Nie, to nie sen. Przecież tak było.

Odplýwał z Odessy francuskim okrętem wojennym, stał na pokładzie, gdzieś w oddali dało się słyszeć działa.

To musieli być bolszewicy. Podszedł do niego niskiej rangi oficer.

— Pochodzi pan z Odessy? — W jego głosie wyczuł jakiś rodzaj tęsknoty, a może ostatniego pożegnania.

Pokręcił głową. Bywał na Krymie wielokrotnie, ale z Odessą nic go — poza interesami i pałacem, w którym nie spędzał zbyt wielu dni — nie łączyło. Pałac był kaprysem, mógł sobie nań pozwolić; nie z rozrzutności, ale dla podkreślenia swojej pozycji. Nie miał nadziei, że zobaczy go jeszcze kiedykolwiek.

— Widział pan iluminację?

Przez chwilę musiał się zastanowić, o co marynarz go pyta. Zanim odpowiedział, przez chwilę patrzył na czarnogłowe mewy. Podrygiwały na falach, unosiły się i opadały, unosiły i opadały. Znał się na ptakach, to matka uczyła i jego, i rodzeństwo odróżniać jedne gatunki od innych. Wyciągnął palec przed siebie, wskazał na mewy.

— Mewy, przynajmniej niektóre, jak czerwoni, żywią się padliną... — Przez moment milczał. — Pan pytał...

— O iluminację na teatrze.

Wiedział, że budowę tego neobarokowego teatru kierował polski architekt. Bez trudu przypomniał sobie nazwisko. Feliks Gąsiorowski*. Kosztowało to ogromne pieniądze, na pewno więcej niż milion rubli.

* Feliks Gąsiorowski (1815–1894) – polski architekt, działający przede wszystkim w Odessie. Najbardziej znane jego realizacje to gmach Muzeum Archeologicznego, biblioteka oraz pałac Zenona Brzozowskiego, który później zyskał nazwę: Pałac Szacha.

— Widziałem.

— Wie pan, mój ojciec... — Oficer zakaszłał, zakrył usta dłonią. — Mój ojciec wiele lat temu przywiózł ją z Ameryki. W całej Rosji nigdzie nie było czegoś takiego. Ustawiały się tłumy. Damy w pięknych sukniach, eleganccy panowie, przyjeżdżali książęta, hrabiowie. To była sensacja. A teraz? Tak to się kończy. Nikomu niepotrzebne piękno, sztuka.

Bardziej od iluminacji podziwiał popiersia Gogola i Puszkina na fasadzie tego monumentalnego gmachu.

Zakołatała mu w głowie fraza z jakiegoś wiersza poety:

Oktiabr už nastupił — už roszcza otriachajet

*Poslednije listy s nagich swoich wietwiej**.

Mewa poderwała się z wody, usiadła na pokładzie torpedowca, obok potężnego działa. Przysiągłby, że patrzy mu prosto w oczy. Otworzyła szeroko dziób, jakby chciała mu coś powiedzieć. Wydała jednak z siebie tylko trwającą kilka sekund skrzek. Potem odleciała.

Westchnął głęboko.

— Obudził się pan? Możemy porozmawiać?

To musiał być ten sam mężczyzna, który wcześniej zadawał mu pytania. Przekręcił głowę na bok. Dalej był w szpitalu. Nic z tego nie rozumiał.

— Kim pan jest? — odpowiedział po francusku. — Policjantem?

Francuz dosunął swoje krzesło bliżej jego twarzy.

* Nadszedł październik, strząsa już zagajnik ostatnie liście ze swoich nagich gałęzi (fragment wiersza Aleksandra Puszkina pt. *Jesień*).

— Komisarz Flamaren. Powierzono mi śledztwo w pańskiej sprawie.

— To jest jakaś moja sprawa? — Poczuł, że ta odpowiedź niezbyt spodobała się policjantowi.

— Był pan w operze. Przedwczoraj.

Minęły dwa dni? Jak to możliwe? Zniknęły mu z życia. Był nieprzytomny? Spał? Co się z nim działo?

— To zakazane?

— W żadnym wypadku. Ale...

Mężczyzna miał na sobie inne ubranie niż wcześniej. Musiał więc wychodzić z tej sali. Separatki? Więziennej izolatki?

— Ale...?

— Ale tutaj, we Francji, nie podoba nam się, gdy ktoś próbuje dokonać zamachu...

— Zamachu?

— Pan jest Rosjaninem, prawda?

Pokręcił głową. Jeszcze kilka lat temu musiałby na tak postawione pytanie odpowiedzieć, że jest carskim poddanym.

— Jestem Polakiem. Na kogo chciałem dokonać zamachu?

Flamaren się roześmiał.

— Z wami, Polakami, zawsze jest kłopot. Kiedyś pański rodak próbował tu, w Paryżu, zastrzelić cara. Jak on się nazywał?

Mógłby odpowiedzieć, że nie wie, że nie pamięta, że nie było go wówczas na świecie. Ale przecież wiedział i pamiętał.

— Antoni Berezowski*.

— A tak, tak. Berezowski.

To nazwisko w ustach komisarza, nawet gdy powtarzał je po nim, brzmiało zdecydowanie inaczej.

Przez chwilę milczeli.

— Szczęśliwie to nie pan chciał zabić. To pana próbowano odesłać na tamten świat. — Flamaren musiał chyba dostrzec na jego twarzy zdziwienie. — Jest pan kimś ważnym, ma pan wrogów?

— Kto ich nie ma? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

Komisarz uśmiechnął się i kiwnął głową.

— Ale nie na wszystkich polują, zwłaszcza w taki sposób.

— Zdradzi mi pan szczegóły?

— Oczywiście, ale najpierw pańskie nazwisko, panie... Nie nosi pan przy sobie paszportu?

Mógł wymyślić jakieś fikcyjne dane, a potem, jutro, pojutrze, zniknąć z tego szpitala, rozpląnąć się. Parę razy w życiu miał na to ochotę, parę razy tak się zachował. Ale tym razem? Po co?

— Karol Jaroszyński. Jestem, o to pan nie pytał, jak by to wytłumaczyć, finansistą. Mam apartament w Ritzu. Możecie sprawdzić.

Flamaren gwizdnął z podziwu.

* Antoni Berezowski (1847–1916) – polski szlachcic, powstaniec styczniowy, wykonawca nieudanego zamachu na cesarza Aleksandra II. Próba ta miała miejsce 6 czerwca 1867 w Paryżu.

— No tak, tak. Mogłem się tego spodziewać. Pański ubiór, loża. Ktoś panu towarzyszył w operze?

Nie był sam. Ale czy powinien zdradzać jej nazwisko? Jeśli nie przyjechała z nim do szpitala, znaczy... Kim była? A może...

— Miał mi pan... Ten, który chciał mnie zabić, to...?

— Tak, tak, jakiś mężczyzna. Do tej pory nie został ujęty, ranił pana w pieszczel prawej nogi.

— Strzelał?

Komisarz pokręcił głową.

— To jest najdziwniejsze, ranił pana... igłą.

— Igłą?

— Precyzyjnie mówiąc, ta igła była zakończeniem laski. I była zatruta. Powinien pan dać na mszę, lekarze mówią, że miał pan ogromne szczęście. Albo, to też możliwe, zabójca, względnie zabójcy, spartaczył swoją robotę.

Jak przez mgłę zobaczył czyjąś twarz, tam na schodach. Amelia opierała dłoń na jego ramieniu. Ten wysoki, dobrze ubrany mężczyzna — nigdy go wcześniej nie widział — coś do niego powiedział. Próbował się skupić, przypomnieć sobie te słowa. Na pewno po rosyjsku. To było jakieś przekleństwo, groźba.

— Praklataja sabaka — mruknął niezbyt głośno.

Policjant wyciągnął głowę w jego stronę.

— Nie znam polskiego, może pan mówić po francusku?

Jaroszyński oparł się na łokciach i podciągnął do góry. Teraz jego wzrok obejmował całą sylwetkę Flamarena.

Zobaczył nawet jego znoszone kamasze. Pomyślał, że tamten pewnie nie zarabia zbyt dużo. Może też wydawać pieniądze na inne przyjemności. Kobiety? Hazard? Dlaczego właśnie to przyszło mu do głowy? Tak, znał odpowiedź, ale przecież nie każdy miał identyczne jak on upodobania. Miał... Czas przeszły... Lata temu, przynajmniej jeśli chodzi o ruletkę.

— To był Rosjanin — oznajmił z tą ogromną pewnością siebie, jaka przed laty powodowała, że nawet na carskim dworze przyjmowano jego słowa za niepodlegające dyskusji.

— Jest pan pewien? Rosjanin? Emigrant? — Flamaren najwyraźniej uznał, że ranny wie więcej, niż chciałby powiedzieć. — Miał z panem jakieś porachunki?

Jak mu powiedzieć, że porachunki miał z nim cały porządek świata? Tamci na wschodzie i ci tutaj. Dla wielu był nadzieją, dla innych trudną do zwalczenia przeszkodą. Denikin, Judenicz, Wrangel, Lenin z tym drugim, Trockim... I ten Polak, jakże mu? Miał pamięć do nazwisk, grzebał przez chwilę w głowie, przerzucał litery alfabetu, aż znalazł. Dzierżyński. Każdy z nich czegoś oczekiwał. A może... Przecież tego nie mógł wykluczyć. Anglicy?

— Mówił po rosyjsku. Powiedział pan: igła z trucizną. W jaki sposób...?

— ...uratowano pańskie życie?

Chyba nie do końca chciał usłyszeć odpowiedź. Oczywiście znów mu się zamykały. Był zmęczony, chciało mu się pić.

— Kiedy pan upadł...

Jak przez mgłę usłyszał, że jakiś lekarz, podobnie jak on — widz w operze, coś mu podał, wlał do ust; że błyskawicznie go przetransportowano do szpitala; że płukali mu żołądek, puszczali krew, coś jeszcze... Tego już nie zrozumiał.

— Boire... l'eau... *

Ile to trwało? Dlaczego żałują mu wody? Rozrywało mu żołądek, paliło od środka. Pożar.

Ktoś się wreszcie ulitował. Przełknął. Nie, to nie była woda. Ale to bez znaczenia. Ten kwaśny smak. Całkiem... Umiera? Może powinien się modlić? Na głos?

— Jeszcze masz czas...

Znał ten głos. Znał, ale nie był go pewien. Tak, to mogła być matka. Albo któraś z sióstr. Anna? Nie, może Maria? Albo ta trzecia, Julia. To ją kochał najbardziej. Może dlatego, że nie znalazła męża, który byłby jej go-dzien? Była podobna do niego.

Zacisnął dłonie. Ten Rosjanin. Gdzieś kiedyś go już jednak widział. Nie miał siły...

2.

Rok tysiąc dziewięćset dziewiąty... Pius X beatyfikował wówczas Joannę d'Arc, miała miejsce prapremiera *Elektry*, we Lwowie powstało Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, von Bülow przestał być kanclerzem

* Boire... l'eau... (fr.) – Pić... wody...

Niemiec, a Włosi i Rosjanie złożyli swoje podpisy pod traktatem z Racconigi*, który zresztą ci pierwsi szybko zlekceważyli.

A on? Ten rok zdecydował o wszystkim. Całe jego życie uległo wtedy zmianie... Roześmiał się, bo przyszło mu do głowy, że może powinien wystąpić o poprawkę w metryce? Może to była prawdziwa data jego narodzin?

Wypuścił kłęb dymu z palonego cygara, potem obrócił je w palcach. Fonseca. Przywiązał się do tej marki, do tego tytoniu, do jego cedrowego posmaku.

Bóg tak chciał. Lubił powtarzać tę maksymę; przecież gdyby było inaczej... Przymknął oczy.

Monte Carlo. Zatrzymał się w zbudowanym ledwie kilka lat wcześniej hotelu Hermitage. Był zmęczony podróżą, nieprzespaną nocą. Wyszedł na taras i stał tam dłuższą chwilę. Miał wrażenie, że drobiny morskiej soli osadzają mu się na wąsach. Usłyszał stukanie. Lokaj wniósł do saloniku jego bagaże. Pokazał, gdzie ma zostawić kufer. Kazał uprasować jasny garnitur. I białą koszulę. Położył pod lustrem czarną muchę, którą zamierzał założyć wieczorem.

Poczuł się zmęczony. Prawie natychmiast zasnął. Nie przeszkadzał mu szum ulicy, ale obudził się po godzinie, może dwóch, wyraźnie poruszony. Od wielu dni był w nim jakiś niepokój. Nie bardzo wiedział, z czego on wynika.

* Traktat z Racconigi – traktat rosyjsko-włoski, podpisany w październiku 1909 r., którego głównym założeniem było utrzymanie *status quo* na Bałkanach.

Zszedł do restauracji. Przez chwilę rozglądał się, szukając miejsca, ale wszystkie stoły były pozajmowane. Para przy oknie — on mniej więcej w jego wieku, ona zapewne pięć, sześć lat młodsza — widząc, że nie ma gdzie usiąść, gestami dłoni zaprosiła go do siebie. Podziękował, przedstawił się. Mówili po francusku z obcym akcentem, ale nie było w tym nic dziwnego, skoro pochodzili ze Sztokholmu.

Hrabina Eleonora Gyllenborg i jej brat Magnus byli — oznajmili to ze swego rodzaju dumą — potomkami jakiegoś słynnego poety*. Ze śmiechem wybaczyli mu literacką ignorancję.

— A pan, monsieur Jaroszyński?

Odłożyli sztuce i czekali na odpowiedź.

Roześmiał się. Najpewniej był bogatszy od nich. Ale też zapewne gorzej wykształcony. To, co miał w głowie, dawno tak postanowił, miało wystarczyć. Bracia mieli go, skłonny był w to wierzyć, za Żar-Pticę**. Pawia z kolorowym ogonem.

Zaczął opowiadać o Kijowie.

— Rossija? — Magnus najwyraźniej zaciekawiał się miejscem jego urodzenia.

Tłumaczył zawikłaną historię miasta, w którym przenikały się kultury i narody. Trochę nie rozumieli, dlaczego wciąż podkreślał, iż nie jest Rosjaninem, ale

* Gustaf Fredrik Gyllenborg (1731–1808) — szwedzki hrabia, poeta. Był jednym z czołowych przedstawicieli Oświecenia w Szwecji. Członek Akademii Szwedzkiej.

** Żar-Ptica (ros.) — Żar-Ptak, często spotykany w baśniach rosyjskich.

Polakiem. Nie wiedzieć czemu zaczął opowiadać o powstaniach, zwłaszcza tym ostatnim, sprzed prawie pół wieku.

Szwedzkie rodzeństwo słuchało z uwagą.

— Historia zna narody, które giną, są tylko... — Eleonora, tak mu się zdawało, zawahała się, najwyraźniej nie chciała mu sprawić przykrości. — Są tylko — powtórzyła — przeszłością. Królestwo Aragonii...

Pokręcił głową, wszedł jej w słowo.

— To zły przykład. Aragonia połączyła się z Kastylią. Tylko tyle.

— A Polska z Rosją nie?

Była ignorantką, pewnie jak większość mieszkańców Szwecji, tej dziwnej krainy, gdzie od lat panował pokój.

— Niektórzy mówią, że są narody, które nie zasługują na swoje państwo. Ale Polacy — starał się, aby jego głos brzmiał pewnie — swoje państwo będą mieli.

Był tego pewien. Może to matka wpoila mu to przekonanie? Czasami myślał, że trochę na przekór ojcu. Przecież ojciec... Kto to wie? Powinien się tego wstydzić? Skupu polskich majątków, które po powstaniu mogły przejść w obce ręce? Nie był w tym jedyny. Tak, niewielu dostało na to carskie pozwolenie. Nigdy ojca o to nie zapytał. Nie potępiał go, bo i jak? Zresztą przecież odsiedział swoje w kijowskiej twierdzy.

Podszedł kelner przyjąć zamówienie. Zapytał, jakiego napiją się wina. Eleonora bezradnie rozłożyła ręce. On zaproponował Corton Bourgogne Romanée-Conti. W duchu się roześmiał; miał poczucie, że chce

im zaimponować. Swoją pozycją, bogactwem, lekką ręką w wydawaniu pieniędzy.

Magnus kiwnął głową. W spojrzeniu Szweda nie dostrzegł niczego, co by wskazywało, że docenił jego gest.

— Przyjechał pan grać? Jest pan tu pierwszy raz?

Potwierdził i zaprzeczył. Tak, chciał grać, ale w Monaco był po raz drugi. Wcześniejszego pobytu nie wspominał zbyt dobrze. To była katastrofa. Zgrał się do ostatniego franka. Więcej, powystawiał weksle dłużne. Bracia przysyłała pieniądze, czym uratowali mu skórę.

Kelner nalał mu wina, poczekał, aż popróbuje. Skinął głową, a gdy i rodzeństwo miało już pełne kieliszki, podniósł swój na wysokość twarzy. Przez chwilę zastanawiał się nad toastem. Ten, który przyszedł mu do głowy, wydał się żartobliwy.

— Za poezję!

Roześmiali się. Eleonora, co tu kryć, podobała mu się, miała piękne, pełne usta i duże jasnoniebieskie oczy.

Zamówił pieczeń z sarny, a gdy już ją, po dłuższym oczekiwaniu, dostał, jadł powoli, rozkoszował się jej orzechowym smakiem.

Zaczął opowiadać o sukcesach brata, o jego kontaktach z cesarskim dworem. Sam nie wiedział, dlaczego o tym mówił. Może chciał, aby cenili go wyżej, niż on sam siebie cenił? A może, tak myślał po latach, to instynkt nakazywał mu wejść z butami w towarzystwo bogaczy?

Umówili się na wieczór w kasynie. Eleonora — dopiero gdy wstała, zobaczył, że prawie dorównuje mu wzrostem — uśmiechnęła się do niego zalotnie.

— Niech pan koniecznie wygra, to wino było naprawdę doskonałe.

Więc jednak doceniła. Skinął głową i obiecał, że będzie się starał.

Poszedł do swojego apartamentu. Wrócił myślami do Kijowa, do swojej pierwszej szkoły. Zobaczył twarz Aleksija Fiodorowicza Tuttego, zruszczonego Niemca, który koniecznie chciał w ich głowy wtłoczyć prawidła matematyki. Akurat z tym, w przeciwieństwie do wielu kolegów, nie miał problemów. Ale i on od czasu do czasu zasługiwał na uderzenie trzcina po wyciągniętych dłoniach. Kiedyś instynktownie je uchylił, a Aleksij Fiodorowicz poleciał do przodu i mało nie upadł. Przyplącił wtedy swoją krnąbrność osłą ławką, ale i podziwem kolegów.

— Gieroj Paliak. — Nawet jego największy wróg, Jura Sawickij, uznał, że w czymś mu dorównuje.

Przebrał się, schował w wewnętrznej kieszeni marynarki plik stufrankowych banknotów, wziął elegancką laskę i szedł na dół.

Maître d'hôtel uklonił się i zapytał, czy zna drogę. Roześmiał się, kasyno było dwa kroki od hotelu.

Szybko wymienił pieniądze na żetony. Rozejrzał się po sali, szukając wzrokiem swoich nowych znajomych, ale nigdzie ich nie dostrzegł. Przeszedł do kolejnej, ale i tu ich nie było. Stał przy stole z ruletką. Nie musiał długo czekać. Gruby Niemiec wzruszył ramionami i oznajmił, że to koniec, na dziś koniec. Zajął jego miejsce, zaczął obstawiać. Dziewiątkę, dwadzieścia siedem, trzydzieści jeden. Potem popatrzył na pozostałych

siedmiu graczy. Trzech było wyraźnie starszych, musieli się zbliżyć do pięćdziesiątki, dwóch mniej więcej w jego wieku, a dwóch kolejnych bez wątpienia młodszych. Pomyślał, że to oni pierwsi odpadną z gry.

Krupier zakręcił kołem. Przegrał. Jeden z młodych ustawił obok siebie stosik wygranych. Obstawił drugi raz i znów przegrał. Pomyślał, że tym razem nie może skończyć jak poprzednio. Ale trzeci i czwarty obrót koła też nie przyniósł mu sukcesu.

Poczuł delikatne dotknięcie dłoni na swym ramieniu. Eleonora pochyliła się do jego ucha.

— Miał pan wygrywać, panie Karolu.

— Przy pani zaczę — obiecał i postawił na te same numery, co za pierwszym razem.

Wygrał. Raz i drugi, ale potem znów zaczął przegrywać.

Odchylił się i zobaczył hrabinę przy innym stole. Stała za bratem, ale wzrokiem lustrowała resztę sali. Posłała mu swój uwodzicielski uśmiech. Skinęła głową.

Podwoił liczbę żetonów, którymi obstawiał coraz to inne pola. I wszystko się zmieniło. Wygrywał raz za razem. Tak jak przewidywał, pierwsi odpadli najmłodszy. Ich miejsce zajęli następni gracze, potem kolejni, wreszcie nie było już żadnego z tych, do których się dosiadł. Po dwóch godzinach wokół ich stołu zaczęli gromadzić się ciekawscy. Słyszał lekki poszum rozmów. Większość wyraźnie mu kibicowała.

Poprosił kogoś z obsługi o kieliszek białego wina. W kolejnej rundzie nie obstawił. Krupier popatrzył na niego ze zdziwieniem, ale on tylko kiwnął głową.